№ 38. 21. Września. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi co Sobotę 1 lub 1½ arkusza. Cena 4 Złr. m. k. rocznie dla Lwowa; 5. Złr. m. k. rocznie dla prowincji. Przyjmuje się także przedpłata kwartalna. Pieniądze przesełają się bezpłatnie wprost lo *Redakcji we Lwowie pod l. 181 w mieście* wyraziwszy na kopercie: *Przedpłata na Tygodnik Lwowski.* Inseraty i ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuje redakcja za opłatą po *trzy kr. m. k.* od wiersza półstronnego za jednokrotne umieszczenie, po *dwa kr. m., k.* za każde powtórzenie. Dółączenia na osobnych kartkach przyjmują się za opłatą *trzech Złr. m. k.* od cwierćarkusza. Listy przyjmują się tylko frankowane, wyjąwszy od stałych lub znanych korespondentów. Jeżeli zaś który z nadesłanych artykułów wydrukowany zostanie, wtedy opłata pocztowa na żądanie zwrócona będzie. —

Uwiadomienie od Redakcji.

Od 1go Pazdziernika zaczyna się nowy kwartał Tygodnika Lwowskiego.

Zapraszając szanowną czytającą Publiczność do licznej przedpłaty zawiadamiamy iż, jak dotąd tak i nadal usiłowaniem naszem będzie pismo to uczynić nietylko nauczającem i ściśle literackiem ale oraz i rozrywce służącem.

Będziemy przeto umieszczać oprócz rozprawek, krytyk, szczególnie ***powieści, poezje, korespondencje*** o stósunkach towarzyskich i literackich w kraju lub za granicą, krytykę teatru, oraz pod rubryką: ***Rozmaitości*** różne drobne wiadomości o ciekawych odkryciach, anegdoty historyczne i t. p.

Przedpłatę przyjmuje się cwierćrocznie po 1 Złr. m. k. dla Lwowa, po 1 Złr. 15 kr. m. k. dla prowincji, (można także i teraz przedpłacać pół-lub całorocznie.)

Przesełki pieniężne prosimy adresować:

Do redakcji Tygodnika Lwowskiego pod Nr. 181 w mieście, z dodatkiem:

Przedpłata na Tygodnik Lwowski.

Inseraty i ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuje redakcja za opłatą po ***trzy kr. m. k.*** od wiersza półstronnego za jednokrotne umieszczenie, po ***dwa kr. m. k.*** za każde powtórzenie. Dołączenia na osobnych kartkach przyjmują się za opłatą ***trzech Złr. m. k.*** od cwierćarkusza. Listy przyjmują się tylko frankowane, wyjąwszy od stałych lub znanych korespondentów. Jeżeli zaś który z nadesłanych artykułów wydrukowany zostanie, wtedy opłata pocztowa na żądanie zwróconą będzie. —

Uriel Akosta.

Tragedja w pięciu aktach wierszem przez M. B. A. Przekład wolny z niemieckiego K. Gutzkow.

(*Drukiem E. Winiarza we Lwowie 1850*).

Świeże wydanie tego przekładu daje nam powód do wynurzenia zdania krytycznego nietylko o przekładzie ale o dziele samem. Niezbaczamy przez to od rzeczy, gdyż wybór oryginału świadczy o estetycznem i etycznem nawet usposobieniu tłumacza, i jest skazówką w jakim rodzaju można się spodziewać oryginalnych prac po nim.

Dzieło to *Gutzkowa* zrobiło w r. 1847 wielkie wrażenie w Niemczech. Było ono w owym czasie przedburzy tak odpowiadające nastrojeniu umysłu publicznego, tak zgodne z duchem czasu i charakterem niemieckim, że Niemcy

zachwyceni zostali niem, bo mogli oglądać siebie jak w zwierciedle. — Ale cóż to dowodzi? — że dramat Gutzkowa jest psychologicznym *obrazem* wieku, jest malowidłem, nie zaś właściwie tem czem dramat być powinien t. j. przedstawieniem *czynu*, całego zaokrąglonego w sobie, dokonanego i zostawiającego po sobie zasiew przyszłych czynów, co Czesi bardzo słusznie oznaczają nazywając dramat: *czinohra*. — Obrazowość, powiedzieliśmy już raz to samo mówiąc o *Lubomirskim* Szajnochy, jest panującą cechą dzisiejszej poezji, lecz *nie powinna* być wyłączną cechą poezji *dramatycznej*. Dla tego surowo wprawdzie lecz słusznie napisał pewien krytyk niemiecki porównywając Hebbla z Gutzkowem:

Maria Magdalena von Hebbel eine Tragödie,
Uriel Akosta von Gutzkow keine Tragödie.

Dla czego niemiecki krytyk takie zdanie objawił, toby nas nieobchodziło, gdybyśmy się z nim niezgadzali; lecz zgadzamy się z nim — przeto wolimy powtórzyć co on powiedział, niż zdanie swoje jako nam jedynie właściwe rozgłaszać.

Błędem *Uriela* jest iż Gutzkow chciał w nim dać obraz wieku; nie wieku Uriela, ale naszego, którego, czy Akosta był czy nie był, lecz Gutzków go uczynił wiernym wyobrazicielem.

Znamieniem nie tylko Akosty, ale i reszty osób w dramacie jest *brak charakteru*, brak stałego postanowienia, brak namiętności silnej niezachwianej, naiwnej, dziewiczej i dla tego prawdziwie tragicznej.

„Walka między wiarą a filozofią jest podstawą dramatu" mówi niemiecki krytyk (*Sempach*); zachwala wybór przedmiotu, założenie dramatu, lecz zarzuca mu, że nieprzedstawił przedmiot artystycznie, nie przewiodł należycie założenia dramatu. Miłość bowiem *Judyty* jest niekonsekwentna, wahająca się również jak miłość i wierność zasadom w Akoście, jak chęć zemsty Jochaja. Słusznie mówi krytyk że gdyby *Manasse* konkursu krydy niezrobił, toby nic nie zaszło w całym stosunku. Przyczyną nieszczęść nie jest zawikłanie stosunków *miedzy bohatyrami* dramatu, nie charakter, ale zewnętrzne zupełnie stosunki. U wszystkich zwycięża refleksja nad uczuciem, zastanowienie nad postanowieniem; to czyni charaktery bezcharakternemi, chwiejnemi, słabemi — przynajmniej *poetycznie* słabemi, a zatem niezdolnemi do tragedji.

Te charaktery rozważne nienamiętne, chwiejne, giętkie są w dzisiejszym wieku panujące, przeto dramat Gutzkowa jest obrazem wieku.

Akosta odwołuje swoje zasady, uwiedziony uczuciem dla dwóch kobiet, aby je uratować, aby je zachować dla siebie — tymczasem *oszukał się:* bo jedna umiera a druga idzie za jego przeciwnika i truje się.

Jochaj mści się przez małżeństwo z Judytą, bo wiedząc że ona go nienawidzi, że nim pogardza, *rozważa* iż jest piękną i że ją odbiera przeciwnikowi — jednak *oszukuje się* także, bo mu z jej piękności żadna przyjemność niewynika, ani przeciwnika zgubić niemoże.

Jedna Judyta ma siłę umysłu, choć niema charakteru.

Tyle powtorzyliśmy za niemieckim krytykiem, winniśmy teraz dodać własne zdanie.

Gutzkow należy w ogóle do tych niemieckich poetów, którzy ulegli magicznemu wpływowi Goethego — a mianowicie jego *Fausta*.

Motywem głównym Fausta jest walka między *nauką* a *życiem*, teorją i praktyką. Walka ta objawia się od końca średniego wieku we wszystkich narodach, zarówno w życiu publicznem jak prywatnem, zarówno w literaturze jak w polityce, nawet na polu wojny.

Bohaterem takiej walki jest Faust — ale Faust jest *charakterem;* on się nie zrzeka nauki dla czynu, ideału dla rzeczywistości — on żeni jedno z drugiem; wyobraziciel materjalizmu, odrębnego czynienia bez ideału, nie odnosi nad nim zwycięztwa. — Faust kończy *wniebowzięciem.*

Jestto charakter wszechdziejowy, ogólnie ludzki, wyobrażający całą średniowieczność. Prócz tego wszakże ma Faust charakter wyłącznie narodowy, niemiecki, tym jest oprócz rozterki między czynem a nauką która sie kończy ożenieniem obudwóch pierwiastków, *wybujałość* ostatniej nad pierwszą; odrębność i odłączenie teorji od życia, i zostawienie pola czynów odłogiem.

Ten charakter narodowy, wyłącznie niemiecki — znamię abstrakcijnego idealizmu — jest w Fauscie *podrzędnym*. Przezto jednak że jest organicznie zlany z całością która nosi piętno wieku na sobie, przezto jest i ten podrzędny, niemiecko-narodowy charakter wyniesiony w Fauście do godności wszechdziejowej.

Nie Fausta uzacnia i czyni wielkim jego niemieckość, ale przeciwnie przez Fausta weszła niemieckość do Olimpu i zasiadła w rzędzie *"deorum consentium"*

Tę odrębną myślowość (abstrakcijną idealność) która w Fauście gra podrzędną rolę i jest niejako jego słabą stroną, wyobrażającą jednostronne skrzywienie ogólnego dziejowego postępu, tę uczynił między innemi, Gutzkow głównym charakterem dramatu.

Uriel Akosta jest bohaterem odrębnej myślowości, męczennikiem teorji. Jest w tem wzniosłość — lecz do tego aby uczynić bohatera nauki bohaterem dramatu, aby go uczynić przedmiotem poezji, trzeba go uczynić wielkim, namiętnym nawet, a przedewszystkiem *dzielnym.*

Akosta nie walczy dzielnością, niezostaje przez dzielność pokonany, on walczy myślą, systematem, *przekonaniem nowem* ze *starą wiarą*, i na ostatku niewalczący i niezwalczony pada ofiarą czyli raczej poddaje się.

W tem położeniu jest tragiczność, ale rozwiązanie nie jest tragiczne, nie jest poetyczne; byłoby rozsądne, gdyby Akosta poddawszy się przynajmniej *czegoś był dokazał*. Ale tak — człowiek myśli, człowiek idealny ubolewa nad znieważeniem się *dobrowolnem* Akosty: człowiek zaś czynu śmieje się z trawienia tak wielkiej siły umysłu na rzecz niepraktyczną, na szarpanie się bezskuteczne. Człowiek czuły będzie ubolewał nad *Urielem* bo jest nieszczęśliwym, niemając żadnej winy na sobie.

Każdy człowiek światlejszy ma udział w losie Akosty, bo wieleż takich Akostów, wielu męczenników teorji swoich, którzy się na ostatku poddali przeważnej potędze ciemnoty lub tylko powszedniości — wieleż takich jest na świecie, wielu ich mamy między sobą!

Wszelako to właśnie iż takich jest wiele, iż Akosta nie jest *jedynym*, dowodzi iż nie jest bohaterem jakiego w tragedji z taką pretensją występującą szukać mamy prawo, jak są bohaterowie Słowackiego, Mickiewicza, Szekspira Byrona, Goethego i i. o których gdy ich ujrzymy wykrzykujemy: to jest *nadludzkie*, chociaż niemasz nic bardziej ludzkiego jak ich wielkość, bo wielkość nie jest niczem innem jak zpotęgowaną doskonałą *ludzkością*, Akosta jest tylko jedną z wielu osobistości *znakomitych odznaczających się* (distingué).

Inne osoby dramatu zaś mają to piętno, że wyjąwszy *Judytę i Sylwę* niewznoszą się nad powszedniość.

Niemówimy o układzie dramatu, o dykcji jego, o barwności i żywości obrazowania, bo tu niema co rozbierać; w tem właśnie zależy cała doskonałość Gutzkowa. Piękność formy i odpowiedność duchowi czasu jest główną zaletą tego dramatu, i to go stawia w rzędzie pierwszych utworów dzisiejszego piśmiennictwa.

Z tego względu musimy być wdzięczni Antoniewiczowi że obrał sobie tak znakomite dzieło za przedmiot pracy, wdzięczniśmy jemu prócz tego że będąc uzdolnionym do prac oryginalnych, będąc sam poetą nie uznał za rzecz niegodną siebie przetłumaczyć takie dzieło, nim się jaki z tuzinkowych tłumaczy wziął do pokaleczenia go. W naszem piśmiennictwie i na teatrze panuje słabość pisania, dzieł oryginalnych, a tłumaczeniem zwykle gardzimy: to też pozostaje ta praca ludziom nieznającym ducha języka ani swego ani cudzego, albo przynajmniej niezdolnym przejąć się duchem autora i wznieść się do niego.

Gdyby ten przesąd ustał i niektórzy pisarze kwapiący się do prac oryginalnych wzięli się do dobrych tłumaczeń, niezawodnie zyskałaby i nasza literatura na tem, bo mielibyśmy mniej złych oryginałów i mniej złych tłumaczeń. Zajmować się tłumaczeniem niejest dowodem ubóstwa umysłowego, lecz może raczej przeciwnie dowodem potrzeby i chęci obznajomienia się z całym zasobem nowoczesnego piśmiennictwa, a to znowu dowodem mocno rozszerzonej narodowej oświaty.

Jedna z najbogatszych literatur — niemiecka — niepomija żadnego nawet miernego z dzieł cudzoziemskich by go nie-tłumaczono, toż samo dzieje się we Francji i Anglji, gdzie ledwie że literaci czytyją w oryginałach cudzoziemskie dzieła, zresztą cała czytająca publiczność zna je tylko z tłumaczeń.

Dla tego, powtarzamy, wdzięczność należy się M. B. *Antoniewiczowi* za tak pożyteczny i chwalebny przykład. Oby tylko przyniósł owoce — oby to zachęciło również do *czytania* po polsku jak do pisania!

Tłumaczenie samo pominąwszy wiele usterek w pisowni (ortografji) i niektórych grzechów przeciw gramatyce jest pomimo tego że miejscami prawie dosłowne, przecież bardzo płynne i gładkie tak iż prawie nie znać tłumaczenia, gdybyśmy nieporównali z tem oryginału.

Wiersz nierymowany ma u nas jeszcze wiele przesądu przeciw sobie: wszelako A. zastąpił często rym assonacjami, przez co starał się wynadgrodzić ucho przyzwyczajone do powtarzanego dzwięku rymów. Używanie wiersza miarowego z assonacją zamiast niemiarowego z rymem jest stosownem przejściem do wprowadzenia w poezję naszą miarowego nierymowanego wierszowania, które nadaje mowie nierównie więcej swobody i tego właściwego dźwięku podobnego do muzycznej symmetrji. Niepowinniśmy się zrażać sarkaniem na ten sposób pisania — bezmiarowość i używanie samych assonacji lub rymów jest właściwością języków romańskich, ktore nie są usposobione do rytmu. Języki samorodne zaś w których nie podsuwano wyobrażeń pod gotowe i pożyczone wyrazy, ale gdzie się wyraz rodził wraz zmyślą, są wszystkie do rytmu usposobione. Zresztą ztąd niewynika abyśmy mieli zarzucić rym zupełnie, tak jak tego nieuczyniły ani germańskie ani nasze pobratymcze słowiańskie plemiona, gdzie nierymowana obok rymowanej poezji zarówno istnieje.

Niektóre zmiany poczynił A. na korzyść, niektóre ze szkodą dzieła. Jak często słówko zmienia mowy znaczenie, niech nam wolno będzie dać dowód w słowach Sylwy *)

„Akosta, żal mi, *lecz* w głos nieba wierzę;

gdyby zamiast *lecz* był położył *że*, byłby, choć niezupełnie, oddał myśl Autora gdzie wiele na tem zależało. W mowie *Manassy* w 2giej Scenie opuścił A. właśnie to co najwyraźniej jego sposób myślenia i jego temperament maluje. Jak jędrnie oddał powitanie Judyty z Akostą w sło-

*) W niemieckiem brzmi ten wyraz:

Es thut mir leid, Akosta, dass *ich* glaube;

nietylko że jest *dass*, ale na to *ich* przycisk spada, przez co daje do zrozumienia że Akosta w to niewierzy. W tem jednem *dass ich* jest dotkliwy zarzut dla Akosty a oraz i znak przychylności. —

wach: *Czyś wezwany przyszedł tylko;* tak dalszą urywaną mowę oryginału (*Wo weilt Ihr? Warum flieht Ihr?*) niepotrzebnie rozwlókł. Za to wynadgradza nas w dalszej mowie Judyty bardzo pięknym dodatkiem którego niemasz w oryginale

Za wiek cały gdyby tylko
Tam darzono jedną chwilką
W jedną chwilkę życie skrócę
A na poziom niepowrócę

Niemniej piękne i piękniejsze niż w oryginale jest przetłumaczenie klątwy. Ujęcie mowy Akosty w krótkie wiersze i prawie dityrambiczny, jej układ w szóstej scenie czwartego aktu uważamy także za szczęśliwą odmianę, lecz zmiana drugiej w akcie ostatnim nie wypadła cale na korzyść; w ogóle uderzyło nas wiele zbytecznych upiększeń w ostatnich bardzo affektowych scenach; gdzie krótkie jędrne mówienie daleko jest odpowiedniejsze. Przeciw krótkości zgrzeszył tu często Autor sam, dodatki zaś poczynione w tłumaczeniu jeszcze bardziej przewlekają te uczuciowe sceny. Opuszczenie ostatniej mowy Sylwy bardzo jest stosowne. Kończąc nasze uwagi niemożemy stłumić życzenia aby literaci nasi chcieli tak dobremi tłumaczeniami, tak pięknych dzieł częściej nas obdarzać. —

Moja kochanka.

O! znam was panie, co balowe szaty
Wdziawszy błyszczycie jak szklarniane kwiaty —
Miód wasze usta — a głos wasz pieszczony
Jak lekki podzwiek Eolowej strony;
Waszego życia śmiejące się chwilki,
Z kwiatka na kwiatek skaczą jak motylki,
Płacz uciśnionych ciężka ludów nędza
Na wasze czoło chmurek nie napędza,
Myśl każda pusta, po życia równinie,
Płynie bez troski i bez wieści zginie.

Piękne dziewice! Nie mnie z waszej czary
Wysysać życia godowe nektary,
Kochanka moja w balowniczek rzędzie
Z kłamanym śmiechem nigdy nie zasiędzie,
Ale śród smutku, w nieszczęśliwych kole
Łzy poosusza, ułagodzi bole,
Wesołą będzie, jako ptak na drzewie,
Co sam o swojej wesołości niewie,
Prosta jak gołąb; a dusza jej czysta
Będzie swobodna, dumna i ognista.

Luba! dłoń w dłoni pójdziemy w świat,
W pośród żałoby, wesela czy strat,
Pójdziemy razem, o! moja droga,
W księdze stworzenia czytać wielkość Boga.
Pójdziemy razem z poszeptem dąbrowy,
Prowadzić długie wieczorne rozmowy,
O przeszłych bolach, o pięknej przyszłości,
O szczęściu naszem i szczęściu ludzkości —

Wł. Z.

Spomnienie.

O mój Aniele! pamięci źrenicę
Zwracając w przeszłość, kiedy spomnę nieraz
Gdyby nie słowo, gdyby nie twe lice,
Jak nisko spadłbym, i czembym był teraz. . . .

Gdy w otchłań serca owitego podle
Smiechem z nadziei i grzechami świata,
Spojrzę a na dnie jeszcze mi ulata
Swięte spomnienie, słońce w mętném źródle,

Gdy mi zaświeci ta młodości tkanka
Co do jednego uplotła nas wianka;
To ją tak lubo przytulę, popieszczę,
Scisnę do serca i poczuję jeszcze,
Że w czarnych węgli i popiołów łonie
Choć iskra ognia niewygasła płonie.

Wł. Z.

Jakem syn obywatelski!

Przedmowa Autora.

Wy! coście znużeni dzienną pracą obowiązku lub ustawicznem nad pismami poważnej treści ślęczeniem; coście przesyceni etykietą życia towarzyskiego, znudzeni czczością chwilowych rozrywek, jednostajnością głów stworzonych „do pozłoty" lub bałwochwalstwem czasu. . . . posłuchajcie — przeczytajcie.

I *Wy*! szczęśliwi próżniacy co sami się nudząc serdecznie nudzicie światem co was najbliższy, rozśmieszając szeroki tylko w tenczas gdy was pochwycą na wzorki, wy! mówię godni zazdrości zwolennicy empiryzmu, weźcie od niechcenia do rąk moją przedmowę z dalszym jej wątkiem, i przeglądnijcie ją choćby tylko piąte przez dziesiąte.

Wy! wdzięczni wszystkim bajarzom białe czytelniczki i czarni czytelnicy czułych, drażliwych romansów, niestworzonych konceptów, rozpływających się jak śnieg marcowy serdeczności. . . . którzy nie jesteście nader wybredni co do pokarmu dla duszy, co dajecie z łaski swojej chleb powszedni i sławę powszednią powieściarzom cisnącym się do względów waszych jak rozkosznik do ust koralowych, wietrznik do posagu. . . . dla Was oto! niosę trochę słodkawego pokarmu.

Wy! co-to czytacie bez braku, byle tylko czytać — was najmniej potrzebuję zapraszać. Jeżeli wam wpadnie do rąk

moja dziennikarska powiastka, wiem: że nie omieszkacie przeczytać. I pochwalicie ją ani wątpić — bo zwykle chwalicie wszystko co tylko drukowane, i pożyczką na własność nabyte.

Wy! nareszcie szanowni i powołani krytycy — jeżli chwalicie a mocno, i wy także krytykarze niepowołani, a zatem samozwańce i trutnie, co chociaż chwalicie i wysławiacie, przecież nie jesteście przyjemni ni Bogu ni ludziom: przystępujcie do mnie ostrożnie. Tamtym daję tę powiastkę jak drobny kwiatek mimochodem uszczknięty, tym zaś jak garść pustych orzechów — rzecz chciałem: bez jądra — lecz z czerwem.

Tyle własnych wyrazów pióra autorskiego. Reszta co przyjdzie jest-to tylko wierne spisanie myśli i uczuć powiastkowego bohatyra i jego zatylitów — boha-turzątek, toż jawnych i pokątnych, ich czynności. Własnego autora dowcipu nie ma w tem i krzty, ani za jedno: „*Jak Cię kocham*" — z wyjątkiem może w niektórych tylko ustępach przedmiotowej opisowości, i to dla tej jedynie przyczyny, że jużci ma talencik mały do tego, okupiony przeszło całym greckim talentem, licząc w to czas biały, bezsenne nocy, mozołę, splin angielski i francuzką migrenę.

I.

Rys fizjonomji Lwowa.

Bez? i bez!, a po łacinie:
„Sine ira et studio."

Wdzięcznym choć niekoniecznie tłem śrebrzystem śliznie kotliną rzeczułka Pełtew, niegdyś nazwana „*Biel-Dyw,*" kiedy przodkowie Lwa halickiego kłaniali się jeszcze po swojemu *Freji*, wybrednej dziewce skandynawskiej. W tej to kotlinie łopuszy się rozkosznie grzyb Lwowem zwan. Uczony jakiś-tam jeograf niemiecki pisał o Pełtwie jako o rzece spławnej, i wieleby mówić o tem *pro et contra*. Dajmy na to, że spławna.

Grzyb więc ten jaskrawy zasiadł w lubym mu gniazdeczku, okolony z trzech stron a raczej z siedmiu ósmych stronnic gołogórami i lesistemi wzgórzami, z położeniem gdzie-niegdzie prawdziwie romantycznem, i tylko ku północy stoi rynwowym we dwa ramion otworem dla dwóch gościńców wiodących znów na wzgórza — do twardej na kilka jeszcze wieków zagadki. Takich-to więc sąsiadów ma Lwów, a historycznie miasto mozajką wyścielone. Co do powierzchowności jego a mianowicie oblicza, ma fizjonomię zachodnią — ciekawą i schludną, kibić kibitnych Polek rozkoszną. Stan jego teraźniejszy owdowiały, lecz tylko wyjątkowo. Lekarze sądzą o nim, iż do tuszy skłonny. Zresztą ruchy jego dość żywe ale nie zawsze uważne, włosy ma podgorzałe, wzrok szczególnie w zapalczywym stanie serca krótkowidzący, połysk oczu jak na teraz przyćmiony, okulary wsadzono mu powiększające, nosa jest długiego, zwłaszcza od pewnego czasu. Niedawno też odbył niebezpieczną ospę, ma pełno dziubów — w każdym dziubie po sto rubli. Począł się z ducha słowiańskiego, niańką mu była dajmy na to Rusinka, a ojcem-piastunem król Bielaków, co go zwano królem dzisiejszych praktycznych komunistów. Płodzi okwicie wierszopisów i szparagi, i tym-podobne jarzynki. Piosnka jego niosła — ale nie doniosła; bo co mu nie wzięto, to sam obliczywszy się ze sobą oddał aż do najdrobniejszego pieniążka.

II.

Od pokolebia aż do grobu — niewinności.

Wszystkie początki biorąc je z poważnej strony życia są smutne mniej więcej, trudne, bolesne, lecz najbogatsze w nadzieję która się brylantowemi łączy z niemi ogniwkami. Chcąc tu wyliczać ciekawsze choćby tylko początki niebyłoby temu końca, chociaż byłoby dużo nadętej uczoności, więcej jeszcze znudzenia, a i sporów nie mało. Ciekawa rzecz jednak, czem mógł być człowiek nim nie był jeszcze człowiekiem, i nim przeszedł przez milionowe może formy tworzenia się swego: czy muszką lub drobnym tylko pyłkiem? Rozum krytyczny mówi, że *niczem* nigdy niebył. Zaczem też i postaci o której tu będzie rzecz junacka muszę dać jakikolwiek początek; świadczę się stanem oblężenia a klnę się na moją lojalność, iż nic złego nie mam w myśli, i dlatego przykro by mi było, gdyby tu chciano co wykreślać.

Owoż niech mi wolno będzie powiedzić, iż postać wspólnego bohatyra naszego była zaraz od swego urodzenia *Wiczem*, czyli wice tem co rodzic, a mianowicie popowiczem, z których wychodzili niegdyś teokratyczni samodzierzcy, książęta, guropany a może i królowie — jeżli się wkładali do wojenki. Dziwne bo to były owe czasy!, dziś tylko wspomnienie o nich pozostało i łuska żelazna cisnąca rdzawą karaceną pierś tęskniącą, i dzieląca ją od rozbratanego sprzecznemi namiętnościami świata.

Bohatyr tu występujący uczuł się dopiero i najprzód na ławie szkolnej znaczącą jednostką w życiu towarzyskiem. W szkołach to uczczono go po raz pierwszy właściwą mu nazwą rodzinną *Dylągiewiczów*, przepisano mu stały i określniejszy porządek zachowania się, podniesiono go do godności małego człowieka, większych nierównie po nim wymagając obowiązków. Tam on poznał pierwsze prawidła równości studenckiej wiodące do dalszych teoryj o równości człowieczej. Tam ból pierwszy osamiałego serca, pierwsza emulacja ze światem, pierwsze przeciw niemu negacje. Taką to drogą wązką z początku lecz co raz dalej rozszerzającą się w nieprzejrzane rozmiary, postępował

Dylągiewicz młody, aż stanął u zwrotnika szkolnego, stanowiącego zwykle o całej przyszłości młodzieńca unoszącego się w śnie złotym, w tęczowych marzeniach o niepojętym przezeń jeszcze świecie tutecznym, — szukającego innych, więcej jasnych, rozkosznych upojonych idealizmem światów — bez jutra!

Podano mu więc w chudych zeszytach treść mądrości światowej nazwanej ryczałtem filozofią, a on zaczerpnąwszy z nieprzebranego źródła tego ledwie tyle co starczyć może na ócz przemycie, sądził się wielkim mędrcem bo filozofem, i zaczął pożądać gorzkiego owocu poznania: nie tajemnic ducha — lecz tajników świata. Pisklę w obec doświadczonych gruchaczy i gorejących gołębic, podstępnych wron i drapieżnych jastrzębi, kraszanka w obec orłów świata, brał się sam za orła młodego, chcąc lotem swoim sprostać ich skrzydłom, wzbić się do jasności wiedzy, padać piersią płonącą w ciemne przepaści rozkosz zwodniczych. Do słońca się nie wzbił za młodu a splamił pierś łabędzią którą myślał potrącać bezkarnie głazy do ruchu, wlewać czucie własne w próchno ułudnie świecące.

Czy tak i ojciec jego myślał za młodu, trudno powiedzieć — przynajmniej w wieku dojrzalszym innego wcale strzegł zdania. Tymczasem synalek jego trochę się uczył, trochę fantazował. . . . na sposób słabo strzeżonych młodzieńców. Zaplątał się nawet w babską kabałę: zdawało mu się że kocha, a raczej że czas mu już kochać. I na tym to progu zwykle potyka się młodzież. W takim wieku branie bez wyboru — pierwsza lepsza sposobność wystarczy. Jemu właśnie sposobność ta nastręczała się sama, a była bliska — o jeden tylko próg.

Biedny chłopiec! . . . . przeszło rok cały patrzał w węgle oczu czarodziejki swojej, może samej kiedyś za lat panieńskich zczarowanej. Ona żałobnym rąbkiem wdowy zakirzona, niespełna półtora razy od niego starsza, rzucała klątwy na hulaszcze serce młodzieńca spojrzeniem wyuczonem, blado-koralowym uśmiechem, płoszczykami słówek ponętnych, wonią błękitno-hebanowych włosów — całym ogromem niemocy kobiecej! Tem biedniejszy! kiedy zapał jego znalazł uprzedzającą wzajemność ukrywaną niecierpliwie i tylko tak długo, pokąd motylek nie strzepotał się na złotej szpilecce.

Ot! i w tej krótkiej treści romansu mieści się oraz i cała jego osnowa. W podobnym składzie rzeczy nie idzie inaczej. Takim torem idzie młodzież chórem, pokąd ją cierpliwa Starka nie okulawi, a nieubłagana Marzanna nie zaprowadzi za rękę i w jasnej koronie do wspólnej matki wszelkiego ciała, na tęczową pościel rozpamiętywania.

Młode serce bogate w uczucia odkradzione innemu światu, w błękitną nadzieję, piorunne myśli, w olbrzymią siłę niepokojów, nie umie zwyczajnie korzystać z przedświtowych objawów niestarownego żywota. Roni jedną perłę za drugą, a natomiast niza na krwawą nitkę czarne kłokotki żalu, aby kiedyś za każdy z-osobna paciorek dręczyć utęsknioną pierś przykremi wspomnieniami, utrapić smutkiem — tym podbójcą swobodnego ducha. Młode serce ważąc sobie lekce obce doświadczenie, samo chce się o nie pokusić, chociażby mu przyszło pierwszą zaraz probę okupić resztą dni swoich. Postawcie mu wstręty, a zdawać mu się będzie żeście zabrali wszystkie promienie słońca jego duszy, wszystkie barwy tęczowe umysłu, zatruli woń rozkwitu serca, zakrwawili oczy i otoczyli śmiertelną ciemnością.

Wy starzy!, starzy — coście nigdy nie byli młodymi. . . wy nie znacie uczuć młodych, prądu i wiru myśli niespokojnych, łzawej rozkoszy rozpierającego się serca, jego rozstroju dzikiego, — i nie dziw!, bo młode serce samo się nie zna świadomie, i znać nie może. Toż nie zapomnieliście tego czegoście nigdy nie pojmowali, a zresztą ostygliście już dawno, przetrawiliście się w płomieniach własnych; serca zmurszałe w okropie uczuć dawniejszych tętnią w piersi waszej już tylko machynalnie — i nic więcej! Ta jedyna zostaje wam jeszcze pociecha, iż się nie łudzicie snem słodkich może w młodocianym wieku urojeń, — że będąc więc panami utulonego serca poglądać możecie z wierzchu na odnikające od poziomu pokolenie, i karcić według karbów rozumu rzutkość jego goręczkową.

Tę smutną pociechę miał i ojciec Dylągiewicza. W sercu swem pobłażał synowi nie jeden usterek, słowem jednak karcił ostro, czasem nawet pogroził. W połowie lipca zabrał syna na wieś ze Lwowa, aby go wtajemniczyć w znaki pisma białego które ruskim nazywał, nie dostrzegając sam czyscowego ducha w tych początkujących, lapidarnych znakach pisemnych. Nie odgadywał znaczenia i przygotowawczej lub z czasem zwichnionej formy głosek, ni krytu ich nazwy. . . . . . .

Dawniej już wkładał był troskliwy ojciec najstarszego szczególnie syna swego do tej nauki, dziś dalszy ciąg jej musiał djakowi powierzyć. Lecz próżna była praca zhardziałego tem klechy; młody bowiem Dylągiewicz aczkolwiek czytał pismo białe dość płynnie, nie myślał o jego dlań przydatności na przyszłość. Uważał je za rzecz martwą dla swego świata, jeść chleb z niego nie żądał. Słowem, chciał z kasty wystąpić. Miał już w tej mierze własne swoje postanowienie, lecz nie stawało mu odwagi do wystąpienia z niem przed ojcem. Wszelakoż szydełko tajone w worku mignęło zeń nie raz zakrzywioną swą kóską; często syn ojcu zachwalał nawiasem materyalne korzyści tryskające ciurkiem szumiastym z bedni prawnikowstwa.

Lecz stary — zwykle jak stary. . . . zmrużywszy jedno oko spoglądał drugiem z-ukosa na świszczypałkę swego; nie brał rzeczy na prawdę, może mimo puszczał umyślnie, i myślał: По моимъ буде указу!

A syn znów inaczej. Zamilkł, lecz zadumał: Żyć będę jak szlachcic!

I w tem-to zachodziło główne ich przeciwieństwo, a jak mówi przypowieść u Srzeniawy: „Pop w dzwon, czart w klepadło“ (po rusku: Pip swoje, czort swoje). Zbliżał się wreszcie owocowy wrzesień, a z nim ścieliła się przed młodzieńcem droga do Lwowa, gdzie go miano odziać suknią wprawdzie sutą lecz nie w myśl jego sudanną, opiąć czarnym pasem przyszłej bogomodlca powagi. Nie w smak mu szły takie przybory, tem mniej, kiedy mu groziło nadto lat cztery klauzury. Cztery lat! dla młodzieńca jego usposobienia — to cztery wieki! Najprzód zasadził gałązkę cyprysu nad cieniami zuchwałego wąsika; przełknął żal dość mężnie, więcej jednak za nim tęskniąc — niż rok 1850 za swoim dziaduniem.

Owoż nie długo chciało mu się klerykować, w czem go dawniejsza znajomość jego białkowa utwierdziła co siły. Przyszło do tego: że albo się popraw — albo żegnaj i ruszaj za furtę. To wolał ruszać, i czekał tylko, rychło klamka zapadnie za nim na zawsze. Lecz miano trochę względu na ojca, więcej nierównie dla dziekana: znać mu wprzód dano: może jeszcze co poradzi!

Ha! więc zleciał stroskany ojciec ną bryczce o dwóch skrzydłach żelaznych, wpadł obces na syna nieprzygotowanego do takiego spotkania, i nuż go po swojemu nabierać:

„A szczo to? . . . Waszeć ne choczesz sia wczyty, lulku kurysz, ta-j bihajesz do te-j czarownyci? Choczesz buty szlachtyczom — bah! i panowaty ?! . . . Ne byw twij bat'ko szlachtyczom darmoidom, i ty nym ne budesz. »„Kołyś ne peryh, to ne pyroży sia!“» Jak ne zistanesz popom, ne budesz chliba isty: to Waszeci każu: a szczobyś pamiataw, uszy dobre nakruczu. Może sobi dumajesz zistaty prawnykom, krutijom, ta-j bidowaty — ludy obdyraty i samomu niczoh ne maty? Choczesz czużyi kuty wyteraty, i w czużyi horczki zazyraty? Ja maju bilsze dity; majat'ku ne nazberawem — chotia deń i nicz praciuju. Ałe chliba djakowaty Bohu! maju dosyt', i borohy stojat' zo-zbiżom; je czym i hosti pryjniaty, ta-j bidnoho szlachtycza i podorożnoho pożywyty. Żydam sia ne kłaniaju, z panamy sia ne kumaju. Każu Waszeci: szynuj sia, bo jakem Rusyn! objuh batohamy, z domu na wsi witry wyhoniu, i znaty tja na oczy ne choczu!“

Tyle było powitania i pożegnania zarazem. Gniewny ojciec nie dał nawet synowi ręki swej ucałować — co wiele! wyszedł na miasto chcąc kupić kozacką konstytucję, — w zamyśleniu i kłopocie atoli kupił funt tabaki, i w lepszym już humorze wracał do domu, pewny dobrego skutku napomnień. Pewność ta zawiodła go jednak, bo w parę niedziel później syn jego już nie był na świętem ex-Dominikanek miejscu. Na prawo nie poszedł, bo już było w tym roku i za późno, lecz zato chodził dużo po nocy, i rad się przysiadał do zielonego stolika.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Dwie sztuki wielką sprzeczność z sobą stanowiące widzieliśmy, jedną po drugiej, na naszej scenie: *Djabeł w zalotach* i *Zbójcy Szyllera*. Wstydzimy się prawie wspominać o tamtym utworze błahego trefnisiostwa obok tych pierwocin genialnego poety. Wszelako odmiana niezawadzi, gdyby to się dyrekcji teatru lwowskiego częściej trafiało dobre urozmaicanie swego repertoarza. Lecz niestety tak niejest. Przyznajemy chętnie, że niemając więcej teatrów niemożna wymagać aby jeden odpowiedział tym wymaganiom publiczności, które gdzie indziej ledwie cztery albo i więcej zadowolnić zdołają. Lecz my też niewymagamy po naszym tego czem się odznaczają teatry stolic. Wiemy to bowiem iż nasz teatr z kąd innąd zasiłków niedostaje na opłacenie doskonałych aktorów, (jak n. p. Burgtheater wiedeński, teatry warszawskie lub petersburskie i i.) ale jeszcze musi swoim zyskiem, jeżeli ma jaki, pokrywać koszta sceny niemieckiej.

Niewymagamy przeto aby nasz teatr miał zupełną scenę tragiczną i odrębnie od niej komiczną, i żeby nam na przemiany przedstawiono raz najdoskonalsze tragedje drugi raz najlepsze komedje.

Gdyby jednak choć dwa razy na miesiąc przedstawiono jedno z tylu arcydzieł tragicznych, a choć raz jedno z mniej licznych arcydzieł komicznych, pozwolilibyśmy aby z resztą przez cały miesiąc grano *Djabłów w zalotach, Papugi babuni*, lub inne podobne.

Zdaje nam się iż częstsze przedstawienie sztuk Szyllera, Goethego, Szekspira, Kalderona i dawnych klassycznych francuzkich, zresztą mnóstwo nowych jeżeli nie tak wsławionych ale znakomitych dzieł naszych i zagranicznych wpłynęłoby i na wydoskonalenie artystów, na gust publiczności i wzbudziłoby większe zajęcie się teatrem. Korzeniowskiego widujemy jeszcze najczęściej na scenie, i to najmniej znaczące sztuki jego; o Słowackim ani mówię, — on jakby nieistniał dla naszej sceny, chociaż jeżeli niemieckie sceny go mogą przedstawiać niewiem dla czegoby nasze nie mogły. — Jeżeli zaś o to chodzi że zbyt mało lepszych cudzoziemskich dzieł jest tłumaczone na polskie, to temu łatwo zaradzić, gdyby administracja teatru miała cokolwiek ducha przedsiębiorczego: kilkaset reńskich wyłożonych co roku na honorarja za dobre tłumaczenia lub

przerobienia lepszych dzieł dramatycznych, opłaciłoby się niezawodnie przez większe zajęcie publiczności.

Jeżeli mamy za mało aktorów aby odpowiedzieć zarówno wymaganiom tragicznej i komicznej sceny, to przez ustawiczne granie sztuk lichych pewnie ani tych co są niewydoskonalimy ani innych niepozyskamy. Z dzieł *Gutzkow* jednego *Urjela* zdarzy się widzieć, a jednakże Gutzkow tyle dzieł napisał. Niektóre bardzo dobre sztuki niemieckie niedawno grane, — (Marja Magdalena, Deborah) które na tutejszej niemieckiej scenie (wyjmując zaszczytnie pannę *Löwe*) tak bywają kaleczone, niezawodnie nieodstraszyłyby publiczność gdyby nam je dano po polsku. Do najgłówniejszych ról w tych dramatach mamy artystów, którzyby na najlepszych teatrach występować mogli. —

Przeto powtarzamy: *więcej Szyllerów i t. a mniej Djabłów w zalotach.* Krotochwila ta zjednała sobie w Wiedniu wziętość na gminnych teatrach, u publiczności chorobliwie usposobionej po gorączce r. 1848, przez dotykanie stosunków politycznych, przez niektóre igraszki słów, które się nawet po polsku oddać nie dają pomimo zręczności szanownego tłumacza — u nas niepopłaca ani gminność ani chorobliwość. Co do gry niemożemy przemilczeć szczególnie miłej gry p. *Szuszkiewicz* i dobrej p. *Reimersa;* Wójt z Podgórza i małżeństwo szewskie było pocieszne. Balet w piekle dałby się opisać (podobnie jak pewien jegomość definiował historję nazywając ją zbiorem przypadków małych i wielkich) iż był zbiorem podrygów i biegań wielkich i małych. Za to wynadgrodzeni zostaliśmy bardzo ładnym mazurkiem którym p. Werner się odznaczyła.

W *Zbójcach* wystąpił p. Miłaszewski po trzeci raz na tutejszej scenie. P. M. jest początkującym artystą, ma wiele odwagi i niemało zdolności. Miło nam było powitać nowego ucznia w tak pięknym zawodzie. Możemy się spodziewać że miejsca naszych dawnych artystów godnie będą zastąpione przez nowe pokolenie. Aby tylko niedali się ani zrażać naganami niektórych usterek, ani dla pochwał z .innej strony nie mieli się za wyższych nad wszelką naganę. P. M. wystąpił w roli nader trudnej i grywanej przez artystów pierwszego rzędu, prócz tego w sztuce która przez nadmiar uczuciowości już nieprzemawia tak żywo do dzisiejszej publiczności jak niegdyś. Przeto aby zrobić w *Karolu Moorze* wrażenie trzeba być wytrawnym ukończonym artystą. Trzeba mieć wielką znajomość serca i duszy ludzkiej. psyhologiczne doświadczenie, być trochę filozofem a nadewszystko mieć wielką władzę nad sobą samym: tego wszystkiego nietylko od początkowych ale nawet od niewielu dobrych artystow wymagać można.

Dla tego musimy w tem przyznać wielką zaletę panu M. że nas zaraz w pierwszych występach swoich *w Karolu Moorze* zająć potrafił. Ma on zaród dobrego artysty; ma i zewnętrzne po tem przymioty, dobry układ, wiele gracji w ruchach, stosowne użycie głosu, choć jeszcze niezupełnie nim gospodarzyć umie i, jeżeli stłumienie głosu jego któreśmy zauważyli w Moorze, nie jest stałą wadą, można się spodziewać że będzie dźwięczny. Deklamacja dobra, wyjąwszy niekiedy przesadę. Niepewność w i często wymuszoność w grze jest wadą wspólną wszystkim początkującym. Zważywszy wszelako iż u nas niema młody artysta sposobności kształcenia się inaczej jak tylko przez zapatrywanie się na drugich; niemoże nabyć innej nauki i praktyki, jak tylko z tego co zdoła upatrzyć w starszych artystach własnym niedojrzałym umysłem i niewykształconym estetycznie sądem; że musi sobie sam być mistrzem i uczniem: musimy przyznać p. M. wiele pracy nad sobą i wiele zdolności i rokować mu przy wytrwałem i pilnem kształceniu, piękną przyszłość. *Amalię* grała *p. Sułkowska* dla której znać ta rola była nową a rolom tak wielkim nigdy do razu odpowiedzić nie można. Przy jednym *Franciszku* (*p. Smochowski*) mogliśmy zapomnieć że mamy aktora przed sobą. Co do podrzędnych ról musimy oddać sprawiedliwość p. *Jankowskiemu* że rolę *Rollera* bardzo dobrze odegrał.

Rozmaitości.

Podług podania dziennika rosijskiego ministerjum oświaty wychodzi obecnie w Rosji wyjąwszy królestwo Polskie i Finlandję 154 czasopismów, dzienników i miesięcznych pism; z tych wychodzi w Petersburgu 64, w Moskwie 13, w Odessie 5, w baltyckich krajach 22 a w reszcie Rosji 50. Z tych 128 rosijskich, 29 niemieckich, 8 francuzkich, 1 łaciński, 2 polskie i 3 letońskie.

Jeżeli liczbę ogólną dzienników porównamy z ludnością która można przyjąć na 52 mill. (bez król. polskiego i Finlandji), wtedy wypada jedno pismo czasowe na przeszło 300,000 mieszkańców w ogóle. Z tego względu musielibyśmy twierdzić że Rossja wyżej stoi w oświacie niż Galicja, bo jeżeli policzymy wszelkie pisma perjodyczne u nas wychodzące (nawet „*die Bucovina*“) to przypada na Galicję 10, co w porównaniu z liczbą mieszkańców (5 miljonów czyni *jedno* pismo na *pół miljona* ludzi. (Słuchajcie!) *Królestwo polskie* ma na 4 miljony ludności przeszło *trzydzieści* pism czasowych, a zatem w stosunku więcej niż trzy razy tyle — ks. Poznańskie zaś miało prawie dziesięć razy tyle.

Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej pod l. 77.